Barbara Krafftówna:

Wybitna i wszechstronna aktorka, od 20 lat mieszka w Ameryce (Los Angeles). Reżyserzy obsadzali ją w ostatnich latach w szeregu filmach i serialach: „Bank nie z tej ziemi", „Sceny domowe", „Szczęście na telefon", „Więzy krwi", „Król Przedmieścia". Niebawem ujrzymy ją w programie „Rozmowy w toku", jako jedną z Polek od lat mieszkających i pracujących za oceanem.

NIE ŻAŁUJĘ NICZEGO

FOT. ARTUR SZCZUKIEWICZ

Różnie się o pani ostatnio mówi, że przyjechała pani do Polski, ale zaraz wyjedzie, że już nigdy nie będzie na stałe mieszkała w Polsce, że w Ameryce zapuściła pani korzenie i nie ma mowy, byśmy panią odzyskali?

– Jestem w takiej samej sytuacji jak do tej pory, czyli część sezonu mieszkam w Polsce, a część w Los Angeles. Na zimę uciekam do ciepłego klimatu, gdzie spędzam cztery, pięć miesięcy, a resztę jestem w kraju, nie tylko w Warszawie. Ale od niedawna rozpoczęłam proces przesiedlania się na stale do Polski, tylko jak do tej pory w żaden sposób mi to nie wychodzi.

W jaki sposób zamierza pani przewieźć przez ocean dobytek zgromadzony przez 20 lat w Ameryce?

– Na szczęście tego nie jest dużo. Pozostaje widmo udręki pakowania się, selekcjonowania rzeczy...

Dlaczego to tak długo trwa?

– Zamiast segregować, przenosić, wyrzucać różne rzeczy, ja ciągle robię za artystkę, bo ciągle mam propozycje, których nie odmawiam. To blokuje mi ruchy związane z przenosinami do Polski. Nawet jak uporam się z drobiazgami, a starość mnie nie pokona, będę chciała wyjeżdżać z Polski ze względów klimatycznych.

A co z korzeniami?

– No właśnie. W Polsce moi dawni przyjaciele w większości już odeszli. Zamiast nich jest przy mnie w Ameryce nowa generacja przyjaciół i to z nimi wkroczyłam w nowe tysiąclecie. To też opóźnia moją decyzję stałego powrotu do Polski.

Jak postrzega pani te dwa światy?

– Różnice są ogromne, ale w niektórych przypadkach zacierają się, jako, że jesteśmy narodem niezwykle wrażliwym, inteligentnym i o takich cechach charakteru, które na co dzień może przeszkadzają, ale w całej naszej historii przedstawiamy się jako naród niezwykły.

Wyjeżdżając do Ameryki zapewne miała pani świadomość, że zniknie z rodzimego rynku aktorskiego?

– Nie zastanawiałam się nad tym, może dlatego, że wyjechałam tam na chwilę, ale w dosyć trudnym czasie dla Polaków. Miałam jednak świadomość, jak trudnego zadania się podejmuję, wręcz eksperymentu i tak byłam tym pochłonięta, że takich analiz nie przeprowadzałam. Po prostu jechałam tam, bo otrzymałam propozycję zagrania tytułowej roli w „Matce" Witkacego. Zaabsorbowana tym, co czekało mnie w Ameryce, nie miałam czasu na rozważania, czy zniknę z polskiego rynku aktorskiego. Potem okazało się, że nie musiałam się o to martwić, bo były powtarzane programy Kabaretu Starszych Panów z moim udziałem, spektakle telewizyjne i filmy.

Dzisiaj nie żałuje pani swojej decyzji?

– Absolutnie nie. W Ameryce wiele zyskałam, dużo się nauczyłam, zresztą cały czas się uczę. Układ gwiazd wróżył mi satysfakcję zawodową. Występowałam z młodymi w sztuce opartej na Gombrowiczu. Zaczęłam reżyserować. Na początek „Kram z piosenkami" Leona Schillera.

Mało wiadomości docierało do nas o tym, co Krafftówna robi w Ameryce...

– Kiedy w Polsce, z okazji roku Gombrowicza, objechałam 5 miast (byliśmy także w Łodzi) z teatrem amerykańskim i sztuką „Medytacje na temat dziewictwa", grałam Alicję, to reklama też była mała. Ale za to wyniosłam wspaniałe wrażenia z kontaktów z polską publicznością. Koledzy amerykańscy byli oczarowani Polakami.

Mieszkając tak długo w Los Angeles, nie udało się pani jednak wejść do filmu amerykańskiego?

– Weszłam do filmu amerykańskiego, ale nie do tego, o którym pan myśli. Hollywood to zupełnie inny, zamknięty świat. Trzeba by jakiegoś niezwykle szczęśliwego przypadku, żeby znaleźć się w tamtym świecie. Nazywam go szklaną górą, na którą nie sposób wejść. Współpracowałam z Instytutem Filmowym, ze studentami i zagrałam w dwóch filmach zrealizowanych przez studentów reżyserii. To było bardzo ciekawe doświadczenie. Jeden z nich opowiadał o sprawach narodowościowych, zderzał słowiańskie tradycje ze współczesnym światem amerykańskiej młodzieży. Film nosił tytuł „Jak być Amerykanką", jego reżyserka pochodziła z Ukrainy.

A poza tym?

– Miałam propozycje teatralne i dawałam koncerty w Instytucie Międzynarodowym wspomagającym emigrantów z różnych krajów. Dyrektorem tego Instytutu był mój mąż Arnold Seider. Planowaliśmy razem podróże i spokojną starość. Zawał przekreślił te plany. Występowałam w środowiskach polonijnych San Francisco – w Instytucie Fryderyka Chopina i na parafialnej scenie, a także w Los Angeles, Nowym Jorku, Detroit i Chicago. Na koncertach śpiewałam piosenki Kabaretu Starszych Panów. W Polsce, w ramach Złotej Kolekcji, ukazała się moja płyta z tymi piosenkami, także z Kabaretu Pod Egidą.

Jak poznała pani pierwszego męża?

– Moim pierwszym mężem był aktor Michał Gazda. Poznałam go w Teatrze Rozmaitości, a zaprzyjaźniliśmy się w... pochodzie 1-majowym. Po dwóch tygodniach oświadczył mi się. Przeżyliśmy razem 17 lat. Nasz syn Piotr próbował zdawać do szkoły aktorskiej, ale został archeologiem i mieszka w Kanadzie. Ma syna Michała, który studiuje prawo.

Drugi mąż zmarł na atak serca i znów została pani sama i to na obczyźnie.

– Drugi mąż był piękny, ale nie bogaty. Kiedy się poznaliśmy był już emerytem. Ale to był ten mężczyzna. Pół roku po ślubie zmarł na zawał serca. Taki cios zostawia ślad. Ale ja to trzymam w sobie.

Jest pani zawsze pogodna, uśmiechnięta, ciepła i serdeczna dla wszystkich. Czyżby obce pani były zmienne nastroje?

– Miewam zmienne nastroje, bo każdego dopada czasami słabość. Ale jestem optymistką, nawet niepoprawną. W tym tkwi moja siła. A poza tym nigdy nie proszę Boga o coś, co mogę zrobić sama. Nie trzeba uważać siebie za pępek świata, kochając siebie, trzeba być otwartym na innych. Za progiem mam Hollywood, ale nie sposób tam się dostać. Żyję więc w Ameryce prozaicznie. Nie żałuję niczego. Los daje mi to, co zapisane w gwiazdach. A moje są szczęśliwe.

Wiek ma dla pani jakieś znaczenie?

– Jasne. Dla każdego, bo każdy z nas zauważa zmiany w sobie wraz z upływem czasu. Dziękuję opatrzności, że zapominam o swoim wieku.

Czuje pani przemijanie?

– Zauważam, ale nie swoje, lecz to, co przemija obok.

Może warto napisać książkę?

– Mam to w projekcie. Całe życie robiłam zapiski, notatki i nadal to robię. Sporo materiału się uzbierało, trzeba by tylko jakiś klucz do niego znaleźć.

Rozmawiał

BOHDAN GADOMSKI

Barbara Krafftówna planuje przenieść się do Polski na stałe. FOT. ARTUR SZCZUKIEWICZ

... jestem optymistką, nawet niepoprawną. W tym tkwi moja siła. A poza tym nigdy nie proszę Boga o coś, co mogę zrobić sama. Nie trzeba uważać siebie za pępek świata...